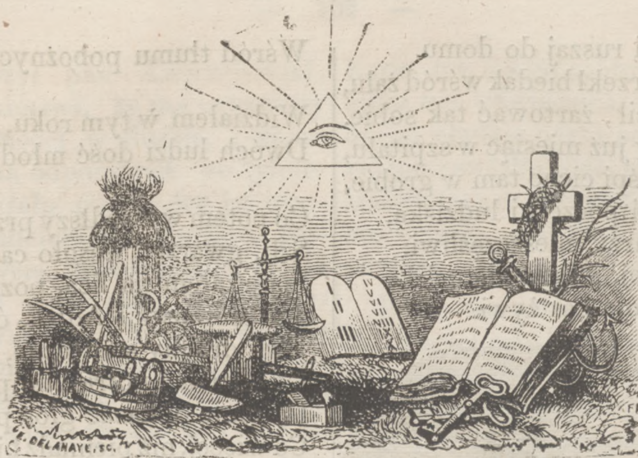
№ 14.

WARSZAWA

d. 26 marca (7 kwietnia)

1861.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Lepiej być rzuconym na rozpalone węgle z rękami i nogami związanemi, niżeli robić cokolwiek tylko dla przypodobania się ludziom. (Śty Wincenty à Paulo).

Szewczyk i piaskarz.

—

Oj! smutna Warszawa na późnej jesieni,
Gdy z nieba chmurnego obfity deszcz ciecze,
Z pod błota już prawie nie widać kamieni,
A środkiem ulicy koń ledwie się wlecze.
Na głównych ulicach, to jeszcze tam jeszcze
I chodzić i jeździć, choć na nie też mruczą;
Lecz biednym mieszkańcom te błota, te deszcze
Na wiosnę i w zimie najwięcej dokuczą.
Raz, jedną z tych ulic w pobliżu kolei,
W fartuchu skórzanym, a o bosej nodze
Biegł Jaś chłopiec szewcki, lecz pełen nadziei,
I biegnąc, to skakał, to gwizdał po drodze.
Kto nie wpadł mu w oko, to wraz go ominął,
Choć prędko się umiał z obcymi przyjaźnić;
Lecz gdy mu się psotnik pod oczy nawinął,
Nuż zaraz do niego i dalejże drażnić!
Więc jak ztąd widzicie, był w dobrym humorze,
Dlaczego? to zaraz powiedzieć wam mogę:
Pan jakiś wzgląd mając, że brzydko na dworze,
Dał w rękę Jasiowi dziesiątkę za drogę.
A jakoś to właśnie wypadło w sobotę,
Więc szewczyk nasz wcześnie myślami się bawi,
Że jeszcze dziś wieczór, gdy skończą robotę,
Za wielką tę summę wyborny bal sprawi.
Tak mijał już skacząc róg Siennej ulicy,
I gwizdał i śpiewał w ton bardzo donośny,
Kiedy go wtem nagle obok kamienicy
Zatrzymał jęk jakiś i dziecka płacz głośny.
Jaś chcąc się dowiedzieć o łez tych przyczynę,
Zawrócił się napowrót, przyśpieszywszy kroku,
I ujrzał od siebie młodszego chłopczynę,
Co odzież ocierał zmoczoną w rynsztoku.
A w ręku miał worek przemokły, zwalany,
Więc biedak nanowo jął płakać i kwilić,
Bo piasek był z błotem ulicznym zmieszany,
I nie miał nieborak już po co się schylić.
— Słuchajno chłopaku, co płaczesz tak głupi,
Jak gdybyś już serce chciał wydrzeć tem komu;
Już wieczór, kto teraz twój piasek ci kupi,

Ot lepiej weź worek, i ruszaj do domu.
—Łatwiej tobie bracie, rzekł biedak wśród żalu,
Chocieś mnie wywrócił, żartować tak sobie,
Lecz ojciec mój biedny już miesiąc w szpitalu,
A matka rok przeszło śpi cicho tam w grobie,
Mnie z siostrą przyjęli poczciwi ludziska,
Lecz sami ubodzy, starzy, nieszczęśliwi;
W tej porze szkaradnej, gdy bieda uciska
Ten lichy zarobek oboje nas żywi.



Jaś dziwnie posmutniał gdy słyszał te słowa,
A jakaś myśl dobra na twarzy mu świta,
Rzekł: i jam sierota, lecz pani majstrowa
Da codzień mi najeść się w domu dosyta.
Zrobiłem ci szkodę, masz moję dziesiątkę,
Bom nigdy nie robił drugiemu na zdradę;
Więc daję co mogę, a ty na pamiątkę
Przyjm jeszcze odemnie przyjacielską radę:
Co masz się z tym piaskiem po mieście tak włóczyć,
Gdzie więcej go noszą, niż ludziom potrzeba,
Przez czas ten się możesz rzemiosła wyuczyć,
I mieć przecie kiedyś uczciwy kęs chleba.
Gdy termin przebędziesz, a dobrze się sprawisz,
Da Pan Bóg ci jeszcze doczekać radości,
Że matce krzyż piękny na grobie wystawisz,
I ojca wyżywisz do późnej starości.

* * *

Cóż dalej wam prawić? ot w farnym kościele,
Wśród tłumu pobożnych na summie zebranych,
Widziałem w tym roku, w palmową niedzielę
Dwóch ludzi dość młodych, porządnie ubranych,
Co potem wyszedłszy przyjaźnie dłoń w dłoni,
Szli, gwarząc wesoło cały kawał drogi.
Spojrzałem na lica, poznałem, to oni:
Jaś szewczyk i Antek, ów piaskarz ubogi;
Dwa druchy serdeczne, dwa żywe przykłady,
Co zdziałać potrafi do pracy chęć szczera,
Co umie dokazać głos poczciwej rady,
Co więcej, niż pieniądz biednych ludzi wspiera!
Dziś każdy z tych chłopców przy własnym warsztacie
Najchętniej biedniejszych, czem może, obdarza...
I na tem już koniec, i otóż ją macie,
Prawdziwą przygodę biednego piaskarza!

Opowiadanie pana Michała.

Pan Michał tak kończył opowiadanie swoje: Każdy ekonom, mówił, roli gorliwie pilnować powinien i głównie około tego chodzić, bo każdy nieurodzaj ze złej uprawy sprowadzając ruinę cudzego majątku, ciężko na jego sumieniu leży, z czego kiedyś Bóg słuchać będzie rachunku. A do tego jeżeli chcesz być dobrym gospodarzem, żeby gospodarstwo kwitło i napełniała się pańska szkatuła, nie bądź leniwym, pracuj, gdy lenistwo spoczywa, a będzie zboże w szpichlerzu i pełne stajnie dobytku.

Porządek, mawiał p. Andrzejewski, to słońce, pod którego promieniami pleni się wszystko i ożywia; gdzie go nie ma, i szczęścia nie ma i błogosławieństwa tam nie ma.

W parę miesięcy tak się włożyłem w gospodarkę, że pan ekonom miał ze mnie wielkie wyręczenie, bo co mi tylko zlecił, spełniłem święcie, byłem posłuszny. W żniwa tak się zwinąłem ze zwózką, że zboże kropli deszczu nie widziało, choć u sąsiadów w tego roku porosło.

Przebywszy tak cztery lata, gdy ostatniego roku po mojej uprawie, zboża jak gaj pokazały się, choć w okolicy narzekano na nieuro-

dzaj. Jak to zobaczył pan Andrzejewski, oświadczył panu hrabiemu, że ma oczywisty dowód mojej umiejętności w służbie, i że on chciałby już pójść na odpoczynek po tyloletnich trudach; a zbliżało mu się też lat ośmdziesiąt i właśnie nadchodziła rocznica pięćdziesiątletniego pożycia małżeńskiego. Otóż przy uwolnieniu od obowiązku Andrzejewskich, państwo sprawili im na Sty Jan właśnie w rocznicę ślubu i imienin pana Andrzejewskiego złote wesele, sprosiwszy dużo gości; i ja też na niem byłem. Na tem weselu wszyscy pili zdrowie państwa Andrzejewskich, a muzyka grzmiała wiwaty. U obiadu i kolacyj staruszkowie na pierwszem siedzieli miejscu. Sam sprawił sobie z pięknego bardzo szaraczkowego sukna kapotę, a ona piękną suknię i czepek.

O weselu tem długo w okolicy ludzie mówili.

Takie było podziękowanie państwa za wierne usługi Andrzejewskim, taką nagrodę odbiera prawdziwa zasługa, i jakież to ją skarby zastąpić mogą? Ubogiego ona ekonoma wynosi wysoko, że każdy, czy pan, czy kmiotek uszanować go musi.

Trzeciego dnia znów państwo Andrzejewscy do siebie sprosili sąsiadów i znajomych swoich i nie żałowali na to: wina było dostatek i dworski kucharz z rozkazu pańskiego wyśmienity sporządził obiad.

Od czasu tego już całkowicie objąłem obowiązki ekonoma w Topolinie. Pan Andrzejewski to już tylko z nałogu się wtrącał, czego mu też nie broniłem: dali im państwo ordynaryę, pensyjkę jaką pobierali do samej śmierci, mieszkanie i parę tysięcy gratyfikacyi. Chcieli mi poczciwi ludziska odstąpić swoje mieszkanie, ale nie pozwoliłem na to, bo znałem ich przywiązanie do kątów, w których lat tyle przeżyli. I mnie też dano piękną pensyjkę, ordynaryę, ogród, wolność trzymania pary koni, oraz kilku sztuk bydła i inne dogodności. Sprowadziłem sobie Nastkę, o której nigdy nie zapomniałem, i nieraz posyłałem jej po kilka rubelków. Ona jeść mi gotowała i gospodarką się trudniła.

Widząc pani Andrzejewska jak się urządziłem, poczęła mi panny raić do ożenienia; miałem już wtedy lat 23. Wpadła mi też w oko młoda dziewczyna córka ekonoma z sąsiedztwa, którą poznałem na uczcie u państwa Andrzejewskich i pojechałem tam. Ładną była Kasia, nie ma co mówić, ale trzpiot wielki; po kilku tam odwiedzinach poznałem, że nie jednego słodkie oczki robi i przymila się. Niebezpieczna taka żona, pomyślałem sobie i przestałem tam uczęszczać. Później też na złe temu wyszło, kto się z nią ożenił: wstydem go okryła.

Poczciwa pani Andrzejewska ciągnęła mnie do drugiej takoż ekonomówny. Panna Barbara niczego była, i gospodarnością w okolicy słynęła; ale widziałem w niej wielkie nieuszanowanie i lekceważenie sędziwych rodziców, i gdy raz matce przy mnie niegrzeczne powiedziała słowo, tyle mnie widziała, bo pomyślałem, gdy rodziców nie szanuje, jakże męża uszanuje?.. i co dla takiej świętego?..

Gdy i tu na niczem się skończyło, pani Andrzejewska stręczyła mi trzecią bogatą córkę cząstkowego szlachcica; lecz że była bogatą, już przez to samo nie miałem do niej wielkiej ochoty, bo zawsze myślałem żenić się z ubogą, aby moja żona co mieć będzie, miała tylko odemnie i szczęście i dostatek, bo to jakoś piękniej i godniej dla mężczyzny. A tem większy wstręt do niej powziąłem, żem widział, iż była strojnisią, i jakem to tylko dojrzał, takoż przestałem myśleć o pannie Zuzannie, bo właśnie mieliśmy w Topolinie tego straszny przykład, co może taka żona zrobić z mężem. Oto kassyer pana hrabiego ułakomił się na kilka nędznych tysiączynów i wziął taką jejmość, i cóż?.. Wszystko przestroiła, a gdy mąż ze szczupłej pensyi dawać na stroje nie mógł, kłótnie, hałasy, że biedak zrobił deces w kassie i nareszcie doszedł do takiego szału, że z rozpaczy odebrał sobie życie. Taki bywa koniec tych, co się łakomią na pieniądze i byle jakie kobiety biorą za żony; a gadali mu jak się żenił, a ostrzegali ludzie, ale słuchać nie chciał, myślał, że za liche pieniądze panem zostanie i został, ale wiecznego potępienia,—targnąwszy się na życie.

Zamiary mojego ożenienia przerwała śmierć pana dziedzica: umarł, długo chorując i jeżdżąc po za granicami do wód zimnych i gorących. Ale to pono, gdy nadchodzi godzina przeznaczona, to nie ma na nią doktora, nie ma umiejętnego zegarmistrza, coby zatrzymał ów zegar ludzkiego życia, który ma wybić ostatnią godzinę. Śmierć ta wielkim smutkiem

napełniła moje serce, i pan Andrzejewski jakoś po niej spaszował i zesmutniał.

Po zgonie dziedzica, syn jego objął majątek, ten właśnie, u którego za chłopca służyłem, bo matka zostawiwszy sobie maleńki fundusik do śmierci, zrzekła się dożywocia zapisanego na dobrach Topolińskich, osiadłszy w wielkim żalu po mężu w klasztorze i włożywszy wieczną żałobę. Po uspokojeniu się w żalu, począłem znów myśleć o żonie, tak mnie do tego zachęcało szczęśliwe pożycie państwa Adrzejewskich. Przy nowej pani była panną służącą Klementyna Dobrzycka, sierota, córka oficialisty prywatnego z dóbr młodej hrabiny. Wpadła ona jakoś pani Andrzejewskiej w oko, lecz ja ani pomyślałem, ani słuchać chciałem, tak Klimcia mi się zrazu nie podobała, bo twarz miała zeszpeconą ospą; ale jak począłem ją częściej widywać, gdym poznał w niej rozsądek i dobroć, skromność, w ubraniu oszczędność, bo jej nigdy nad stan wystrojoną nie widziałem, tak powoli znikła mi jej brzydkość, że ażem się zdziwił sam sobie, a nawet jej dzioby zdały mi się potem wdziękami i serdecznie ją pokochałem. Nie wiele myśląc, udałem się z prośbą do pani Andrzejewskiej, aby ją wyrozumiała; naspierała się staruszka zemną pierwej, że jej słuchać nie chciałem, ale nareszcie postarała się ją wyrozumieć, i choć zrazu (mówił dalej pan Michał z boku krotofilnie spoglądając na żonę) przyznać się nie chciała, ale nareszcie powiedziała, że mnie takoż pokochała. Otóż niebawem pod niebytność państwa, poszedłszy z panią Andrzejewską do niej, oświadczyłem się, potem życzenia moje oświadczyłem państwu: byli z tego bardzo zadowoleni, bo i Klimcię i mnie lubili, i już się zanosiło ku weselowi, gdy oto smutny wypadek dzień naszego szczęścia odwlókł. Oj, bo też to tak na świecie bywa, że ludzie radzą o weselu, a tu często za pasem stoi smutek z czarnem obliczem.

Poczciwy pan Andrzejewski zachorował nagle i choć dobrzy państwo nasprowadzali do niego aż trzech doktorów, nic nie pomogło, trzeba się było na sąd Boski wybierać. Umierał przytomnie, pobłogosławiwszy dzieci, żonie też dziękował za tyloletnie szczęście i ująwszy ją za szyję, dla ostatniego pocałunku tak skonał. Po zgonie ledwośmy ją wydarli z tego uścisku. Myślałem, że staruszka skona zaraz z wielkiego żalu; i ja też płakałem jak po ojcu, że aż Klimcia turbowała się, aby mi to wielkie zmartwienie nie szkodziło.

Pani Andrzejewska prosiła, abym kazał grób wymurować na cmentarzu pod lipą, gdzie nieboszczyk lubiał za życia siadywać, i tak obszerny, aby niebawem jej tam trumna stanąć mogła. Do dnia pogrzebu nie odstąpiła staruszka ciała, stróżując przy nim dzień i noc, a gdy trumnę zabijać miano, użyliśmy z nią wielkiej biedy i korowodu, nim ją od zwłok potrafiliśmy odwieść, bo nikomu przystąpić nie dała; był to sądny dzień.

Państwo sprawili suty pogrzeb staremu, bo na nim było ze dwudziestu księży, mszy bez liku i piękna muzyka. Sławny kaznodzieja miał pogrzebową mowę, i choć pan Andrzejewski całe życie nie był czem innem jak tylko ekonomem, a cóż to on o nim pięknych rzeczy powiedział. Zdumiałem się, że tyle pochwał dla ubogiego sługi znaleść można, o czem nigdy nie myślałem; ale co prawda, pięknem było życie pana Andrzejewskiego!.. Uklęknąwszy też przy mogile jego, pomodliłem się i przysiągłem sobie żyć tak, jak pan Andrzejewski: uczciwie i na mierności poprzestawać, żeby taką po sobie pamięć zostawić.

Od czasu śmierci męża na twarzy wdowy nikt już uśmiechu nie ujrzał, modliła się tylko, płakiwała, zaniedbała gospodarkę i dnie prawie całe przy grobie przesiadywała. Dzieci zabrać ją do siebie pragnęły, ale grobowca odstąpić nie chciała.

Chciała staruszka oddać mi mieszkanie, ale na to nie pozwoliłem; niech tam dokona życia myślałem, gdzie tyle lat szczęścia spędziła, ja z Klimunią poprzestaniemy na małem mieszkanku, wszak do szczęścia prawdziwego nie potrzeba dużo i pięknych pokoi.

Nadszedł nareszcie dzień naszego wesela, prosiliśmy nań panią Andrzejewską, ale odmówiła:

Nie ma już dla mnie wesela, rzekła, na cóż miałabym wam dzień tak uroczysty smutną twarzą zatruwać.

Uklękliśmy tedy u nóg staruszki z prośbą, by nas na drogę życia pobłogosławiła.

Państwo sprawili nam sute wesele, i żonę moją hojnym udarowali datkiem. Nie mogę tu pominąć zdarzenia, jakie miałem w dzień ślubu naszego. Gdy wyszliśmy z kościoła po

odprawionym obrzędzie, spostrzegłem kilku stojących żebraków; przystąpiwszy do najbliżej stojącego, odrazu poznałem w nim mego ojczyma. Wziąłem go zaraz do siebie, ale nic poradzić nie mogłem: rozpił się i zamiłował włóczęgę, w niej też gdzieś marnie zginął. Takie bywają skutki krzywdy sierocej, że Bóg sprawcę onej torbą przyobleka i na potępienie skazuje.

Po weselu wziąłem zaraz Klimusię do siebie i zdało mi się, że już nie było szczęśliwszego odemnie! Ale nowy smutek przerwał dni naszego wesela: raz rano zastaliśmy panią Andrzejewską klęczącą przy modlitwie nieżywą; widać było z jej śmiertelnego oblicza, że u wrót wieczności spotkać się musiała ze swoim Jankiem, bo promieniało ono niewysłowioną radością i szczęściem, mówili ludzie, że jej serce z wielkiego żalu pękło.

Pochowaną takoż została kosztem państwa, i na jej pogrzebie kapłan powiedział wiele słuchaczom o jej wzorowem życiu. Nakonicc wstawiliśmy trumnę do wspólnego grobowca, by spoczęli w pokoju, jako żyli z sobą nierozdzielnie, bogobojnie, by serca ich złączone za życia serdeczną miłością, w proch się rozsypawszy, połączyły z sobą.

Klimusia moja gdy się lud rozchodzić począł z pogrzebu, stojąc nad grobem małżonków, rzekła do mnie zcicha, ściskając mi rękę:

Michałku prośmy Boga, abyśmy jak oni przeżyli długie lata cnotliwie i szczęśliwie, i jak oni spokojnie kiedyś obok siebie spoczęli. Nie mogłem zrazu odpowiedzieć Klimusi, takie niewymowne jakieś przejęło serce moje uczucie na te jej poczciwe słowa i dopiero po chwili pocałowawszy ją w rękę, rzekłem:

Daj Boże! Klimusiu, wszak to w naszej mocy być cnotliwymi, a przez to i szczęśliwymi.

Powróciwszy z pogrzebu, ciągnął dalej pan Michał, nie mogliśmy z wielkiego żalu wejść do mieszkania nieboszczyków, ale przyszedł czas, żeśmy je zajęli, i lat czterdzieści kilka żyjemy w niem szczęśliwie.

Klimusia moja gospodarując całe życie na wzór pani Andrzejewskiej, przysporzyła dostatków, na które pracowaliśmy oboje dla czworga dziatek, któremi nas Bóg udarował. Używajcie szczupłego mienia, mówił pan Michał, zwracając się do dzieci bez trwogi, bo nie ma w nim feniga nieprawnie lub nieuczciwie nabytego, pot go tylko pracy rodzicielskiej oblewa, ale sumienny, i pamiętajcie, że uczciwe zabiegi i mierność, dwa to warunki, dwie drogi prowadzące jedynie do szczęścia.

Nie łakomcie się na bogactwa, jam się o nie nigdy nie dobijał, a nie pomieniałbym się na szczęście z panem pałaców i wielu włości. Bądźcie zawsze skromni w żądaniach, poczciwie służcie komu służyć będziecie, a staniecie się panami największego skarbu, bo czystego sumienia, którego żadne nie przeważy złoto, i szczęścia, którego żadna nie zmieni przeciwność.

Tak zakończył pan Michał.

—

W lat kilka po tem opowiadaniu, widziano go jeszcze na polach Topolińskich gospodarującego.

Swięta mierności! gdyby cię ludzie cenić jak pan Michał umieli, byłoby na świecie więcej szczęśliwych, sumiennie używających w pokoju darów Bożych!

Wykład nauk dla ludu

staraniem wydziału rozpowszechnienia oświaty

Towarzystwa naukowego

z uniwersytetem Jagielońskim złączonego.

—

ZJAWISKA NAPOWIETRZNE.

—

W mieście Krakowie dawnej stolicy Rzeczypospospolitej Polskiej, zostającem dziś pod panowaniem Austryi, której stolicę Jan III Sobieski od jarzma tureckiego wyswobodził, utworzyło się zgromadzenie ludzi zacnych i poczciwych, którzy wzięli sobie za cel rozpowzechnienie oświaty w kraju, już to za pomocą wydawania odpowiednich ksiąg naukowych, już to przez udzielanie wsparcia zdolnej, a ubogiej młodzieży, już też innemi środkami, za najodpowiedniejsze do zamierzonego celu uznanemi. Zgromadzenie to przyjęło nazwę *Towarzystwa naukowego*, i pod tą nazwą rozpoczęło wydawnictwo rozmaitych dziełek naukowych dla ludu, jak to widzicie z tytułu książki, o której wiadomość dzisiaj wam podajemy. Pozostaje nam jednak poprzedzić ją

objaśnieniem, co to jest uniwersytet Jagieloński, z którym Towarzystwo naukowe połączonem zostało i zkąd powstało to jego miano?

Uniwersytetem nazywają pospolicie najwyższą szkołę przeznaczoną do wszechstronnego kształcenia młodzieży. Zwą ją inaczej i właściwiej, bo prawdziwie po polsku *wszechnicą*, od tego, że obejmuje wykład *wszech nauk*, jakie dla każdego dobrego obywatela kraju są potrzebnemi. Przeznaczenie wszechnicy Krakowskiej znajdujemy doskonale określone w przywileju Kazimierza Wielkiego, pierwszego jej założyciela, w słowach: „Niech więc będzie (w Krakowie) nauk przemożnych perła, aby wydawała męże dojrzałością rady znakomite, ozdobą cnót świetne i w różnych umiejętnościach biegłe. Tam niech będzie wylewne źrzódło, z któregoby pełności mogli czerpać wszyscy, wyzwolonemi naukami napoić się pragnący.“

Z przytoczenia tego widzicie, że już wspomniony Kazimierz Wielki król zwany królem chłopków dla szczególnej opieki, jaką kmieci otaczał, powziął myśl założenia w swej stolicy, takiej najwyższej szkoły, a to dlatego, aby młodzież krajowa po nabycie wyższych nauk za granicę udawać się nie potrzebowała. Wszakże wczesna śmierć tego króla w r. 1370 nastąpiona, nie pozwoliła mu ukończyć tak chwalebnie rozpoczętego dzieła, a sława dopełnienia onego dostała się w udziale Władysławowi Jagielle, co to zuchwalstwo krzyżakow w bitwie pod Grunwaldem tak dzielnie poskromił, i żonie jego nadobnej Jadwidze wnuczce Kazimierza Wielkiego, która za pierwsze wzięła sobie zadanie myśl dziada urzeczywistnić. Od rodowego więc imienia jej małżonka jako współfundatora wszechnica krakowska przybrała miano Jagielońskiej, które jej do dziśdnia pozostaje.

Otóż owo Towarzystwo naukowe zwróciło przedewszystkiem pilne baczenie na potrzebę oświecenia najliczniejszej części narodu, pozostającej dotąd w zupełnem prawie zapomnieniu i ciemnocie, i wydawaniem książeczek naukowych do potrzeb jej zastósowanych zamierzyło rozświecać umysł i rozjaśniać pojęcia swych braci włościan i kmieci polskich, aby z nich pożyteczniejszych krajowi i społeczeństwu członków uczynić.

Szereg tego wydawnictwa rozpoczyna książeczka wyjaśniająca

Zjawiska napowietrzne

w sposobie jasnym, przystępnym, do pojęcia najprostszych nawet umysłów zastosowanym; cele zaś onego znajdujemy bliżej określone we wstępie książeczki, który tak brzmi:

„Bóg stworzył wszystko, co tylko w ziemi, na ziemi i nad nią widzimy. Jest to prawda, o której wszyscy przekonani jesteśmy; ale nie wszyscy na te stworzenia Boże jednako się zapatrujemy. Wszyscy widzimy słońce, wszyscy wiemy, że ono ziemię ogrzewa i oświeca, że zrana wschodzi, a wieczór zachodzi; ale nie wszyscy nad tem się zastanawiamy, jak się to dzieje, że to piękne słońce raz nam się pokazuje, a drugi raz chowa. Wiemy też i o tem, że słońce czasem nam się tak zaciemnia, że choćby w południe, na ziemi jednak tak ciemno jak w nocy. Patrzymy na to zjawisko, dziwimy się, jakoś nam tęskno i przykro, pogadamy o niem, a wreszcie i zapominamy. Inni zaś myśleli, zkąd to zaćmienie pochodzi i widać poznali tego przyczynę, gdy nam na długie czasy potrafili przepowiedzić dzień, godzinę i minutę, w której zaćmienie podobne znowu wydarzyć się miało. Wszyscy słyszymy grzmoty, widzimy błyskawice i pioruny; iluż to jednak między nami takich, którzy nawet o tem nie słyszeli, że inni odkryli, skąd te pioruny pochodzą i poznali to tak dobrze, że potrafili nawet wymyśleć sposoby chronienia od nich budynków.

Otóż to skutki nauki, skutki rozumu ludzkiego, przez który Pan Bóg rozróżnił nas od zwierząt i zrobił podobnymi do siebie. Kto ten dar Boży zaniedbuje, ten tylko w połowie jest człowiekiem, kto go zaś kształci nauka, ten tem więcej przybliża się do obrazu Boga.

Nie wszyscy jednak z nauk zarówno korzystać możemy, nie wszyscy bowiem mamy do tego dosyć sposobności i czasu, a jednak wszyscy do tego mamy jednakowe prawo, bo przecie Pan Bóg nie nad jednymi tylko rozciągnął opiekę, lecz wszystkim pozwolił być podobieństwem swojem, dla wszystkich jest ojcem, my zaś jego dziećmi, a między sobą bliźniemi i braćmi.

Z tej więc miłości braterskiej Towarzystwo osób, które przez wiele mozołu i pracy nabyły

więcej wiadomości, chce się niemi podzielić z wami kochani bracia, którzy ich tyle nie macie, a zaprawdę chce wam udzielić skarbu droższego od srebra i złota, bo was chce uzacnić na duszy i sercu. Ono to nie żałuje pracy i własnego grosza, żeby was zbliżyło do tego, czem z woli Boga każdy człowiek być może, a czem żeby był, o ile tylko ma do tego sposobność, dokładać powinien starania i pracy.

Korzystajcie więc kochani bracia z tego chrześciańskiego poświęcenia się dla waszego dobra ludzi, którzy tę tylko pragną mieć nagrodę, żeby ta ich praca stała się dla was prawdziwym pożytkiem; bo skoro to zobaczą, cieszyć się będą, że dopomogli swym bliźnim, swym rodakom, a więc i swemu krajowi: bo im który kraj więcej ma w sobie światłych obywateli, tem też jest szczęśliwszy.

Dlatego będziem wam dostarczali więcej podobnych książeczek jak ta, a każda z nich nauczy was czego innego, byleście tylko w młodości waszej tyle korzystali ze szkółek, żebyście umieli jakotako pisać, a czytać tak dobrze, żebyście to co przeczytacie, zrozumieli i drugiemu opowiedzieć umieli. Jeżeli tylko tak będziecie usposobieni, z naszych książeczek dowiecie się wiele o Bogu, o tej naszej ziemi, o waszej roli, o zwierzętach, które mogą wam być przydatne, a które szkodliwe, o drzewach i ziołach, do czego ich użyć możecie; dowiecie się też cośkolwiek, co się to działo dawniej na tym świecie, o rządzie, o prawach i obowiązkach człowieka; nauczycie się rachować prędko i dokładnie, tak, że sobie w każdym razie sami zaradzicie i złemu człowiekowi oszukać się nie dacie.

Ponieważ każda z tych książeczek zawierać będzie coś dla was przydatnego, nie będziemy więc myśleli nad tem, którą was pierwej zaopatrzyć, ale jaka się pierwej przygotuje, takiej wam zaraz dostarczymy; wy zaś bracia czytajcie, oświecajcie się i proście Boga, żeby swą łaską wspierał nasze zamiary.“

Książeczka ta zawarta w 135 stronicach obejmuje objaśnienie następujących zjawisk napowietrznych, jako to: 1) Wiatru. 2) Rosy. 3) Szronu. 4) Mgły. 5) Chmur. 6) Deszczu. 7) Śniegu. 8) Gradu. 9) Grzmotów, błyskawic i piorunów. 10) Tęczy. 11) Znaków odmian powietrza.

Objaśnienia wszystkich tych zjawisk, są tak proste, jasne i zrozumiałe, że je każde podroślejsze dziecko pojmie i zapamięta. Polecamy więc książeczkę tę do czytania i nauki wszystkim braciom włościanom, chcącym poznać bliżej dzieła boskie, w przekonaniu, że im prawdziwą przysługę tem wyświadczymy; polecamy ją wszystkim szkółkom i ochronkom wiejskim, jako wyborny materyał dla nauczycieli i dozorczyń: ona posłuży im za doskonałą wskazówkę, w jaki sposób tego rodzaju zjawiska objaśniać dzieciom należy, aby wykład swój uczynić przystępnym dla nierozwiniętego jeszcze dostatecznie ich pojęcia, a przytem o tyle zajmującym, ażeby nauka nie tylko nie nużyła ich uwagi, ale stawała się dla nich zachętą do pożądania dalszego jej wykładu.

Książeczka powołana jest do nabycia we wszystkich księgarniach Warszawskich; cena jej gr. 18. Ktoby sobie z czytelników życzył nabyć tę książeczkę za pośrednictwem Redakcyi naszej, zechce się zgłosić z nadesłaniem wartości dziełka, a będzie sobie miał ją kosztem Redakcyi nadesłaną. O dalszych książeczkach przez owo Towarzystwo naukowe wydanych, powiemy wam w swym czasie.

— W dniu 24 marca r. b. w niedzielę Kwietnią, odbyło się w kościele KK. Pijarów uroczyste nabożeństwo Zecerów wszystkich drukarń warszawskich, zamówione przez nich, jako w pierwszą niedzielę, w której gazety nie wyszły. Redakcye albowiem pism mając na celu, aby pracownicy drukarń przez zajęcia w niedzielę nie byli pozbawieni możności znajdowania się na nabożeństwie, postanowiły gazet w dnie niedzielne nie wydawać. Na uświęcenie to tej myśli, odbyła się owa uroczysta bezkrwawa ofiara. Wszyscy wydawcy gazet i współpracownicy bracia ich zecerowie, oraz liczne tłumy ludu, wznosiły razem modlitwy do Pana Zastępow. Zielone palmy Kwietniej Niedzieli, jakby godła zwycięztwa wznosiły się nad głowami pobożnych i dodawały uroku tej solennej chwili! Zwolnienie zecerów od zajęć niedzielnych, nie jest uwolnieniem ich od pracy, jest tylko chwilową ujma zatrudnienia, aby w niej ci pracownicy czerpali w modlitwie natchnienie i zachętę do

dalszych trudów. Inne zatrudnienia i rzemiosła, jako mające niedziele wolne od obowiązków, są przez to w innem położeniu, i dla tego nie wymagają podobnego dla siebie wyjątku.

— Wiadomo wam zapewnie, że dla rodzin osób poległych w Warszawie w dniu 27 lutego r. b. lub rannych, otwarte zostały dobrowolne składki pieniężne. Ze wszystkich stron, dokąd język polski sięga, posypały się ofiary, od najbogatszych darów, do najskromniejszych datków ubogiego wyrobnika. I biedni górale dorzucili do nich swój grosik wdowi. Nabożeństwa uroczyste brzmią po wszystkich świątyniach, liczne tłumy pobożnych wznoszą gorące modły za dusze tych, dla których rodzin ofiary składają. We Władysławowie np. (w Augustowskiem) jak piszą gazety, kościół był przepełniony, mimo że się odprawiały jednocześne nabożeństwa w sąsiednich parafiach Łukasze, Wierzbołowie i Pilniszkach. Przy katafalku przybranym w cierń i palmy, stały cztery kobiety, przyjmujace dary od pobożnych. Dwie z nich były to panie z sąsiedztwa: pani E. Florjanowicz i A. Doliwa, a dwie wieśniaczki: Anna Lorent i Agata Gudajtys. Piękny to obraz zespolenia uczuć i celów, prawdziwe braterstwo w czynie między temi, którzy są dziećmi jednej ziemi!

Z funduszu tych składek Komitet wyznaczył część na przyjście w pomoc ubogim, i obywatele Warszawy w dniu wielkopiątkowym już rozdzielali licznym tłumom przed gmachem Resursy Kupieckiej wsparcie przeznaczone.

Piękny to był i wzruszający widok tej ewangelicznej uroczystości: tu poważny mąż wyciągał dłoń ku okrytemu łachmanami żebrakowi, i podawał mu grosz na ów kawałek chleba powszedniego, o który w modlitwie Pańskiej Zbawiciel świata kazał nam prosić Ojca niebieskiego; tam szlachetny młodzieniec w prześlicznym stroju Polskim, dzielił między uboższych braci pieniądz, na który się kraj cały składał; a wszystko działo się tu cicho, spokojnie, bo miłość chrześciańska i szczere uczucie prawdziwego braterstwa napełniały serca tych zacnych ludzi. Zasługa to ofiary sprawiła, iż choć w żałobie, tak nam się stało wesoło, iż cierpiący doznali z niej pociechy, ubodzy pomocy, rozdzielający wsparcie najwyższej rozkoszy wspomożenia biednych, a wszyscy błogosławieństwa niebios, bo żadne szlachetne myśli, żadne poświęcenie nie ginie bez skutku!

— Donosiliśmy już i jeszcze podamy szczegóły o pięknym czynie X. Odelgiewicza we Lwowie, który w temże mieście założył Resursę dla czeladzi rzemieślniczej. Podobna myśl szlachetna naszego kapłana X. Steckiego ma wejść niebawem w wykonanie i w Warszawie, o czem doniesiemy w swym czasie. Jestto przedmiot ważny; ma on na celu podniesienie moralności czeladzi rzemieślnizej, podanie jej sposobności do utrzymania dobrych obyczajów, do kształcenia się przez udzielanie sobie wzajemne wiadomości dotyczących kunsztu rzemieślniczego i zawiązania życia prawie rodzinnego pomiędzy młodzieżą warsztatową; dlatego innym czasem bliżej się z tym przedmiotem zapoznamy.

— W zamożniejszych domach warszawskich urządzono Swięcone dla klas roboczych, głównie pracujących w warsztatach i zakładach rękodzielniczych, nie wyjmując i wyrobników. Zacna nasza młodzież akademnicka i szkolna zaproszona jednocześnie dla pośredniczenia w tem szlachetnem dziele gościnności polskiej, obowiązek ten przyjęła, gotowa tu, jak zawsze i wszędzie do wszystkiego, co jest wzniosłem i szlachetnem. Przyjęcie to w domy obywatelskie ludzi, na których pracy opiera się dobro i bogactwo społeczeństwa, nie jest zabawką ani chęcią błyszczenia; ale jest to prawdziwe zespolenie się maluczkich z możniejszymi i uznanie całej zasługi pracy i uczciwości. Cieszyć się nam należy z tego, i brać wzór szczerego bratania się, w którem głównie leży wspólne nasze szczęście.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

Wdruk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 23 marca (7 kwietnia) 1861 r. Starszy cenzor, F. *Sobieszczański.*